

W „Bagateli”

Teatromani przyjeżdżający do Krakowa, a także krytycy, rzadko zaglądają do Teatru Bagatela. Konkurencja Starego i Teatru im. Słowackiego zwykle okazuje się zbyt duża.

W krakowskiej „Bagateli”, którą od jesieni ubiegłego roku kieruje Tadeusz Kwinta, aktor i reżyser znany przede wszystkim ze świetnych programów telewizyjnych adresowanych do najmłodszych widzów. Była więc okazja, aby tym razem jednak zajrzeć do „Bagateli” tym bardziej że wielką planszą umieszczoną na budynku powiadamia o premierze: „Dwa teatry” Jerzego Szaniawskiego.

Ileokroć oglądam bądź czytam tę sztukę, zawsze zdumiewa mnie jej konstrukcja — wielopiętrowa, a przy tym perfekcyjna, co sprawia, że „Dwa teatry” są wieloznaczne, wdzięcznie pod-

dające się za każdym razem innej interpretacji.

Wprawdzie jednoaktówki „Matka” i „Powódź” są w swej warstwie psychologicznej i moralnej ponadczasowe i mogłyby być grane na prawach autonomicznych sztuk (tak zresztą jak traktował je Dyrektor Małego Zwierciadła), to przecież stanowią one estetyczną wykładnię surowego realizmu. Ta zaś koncepcja tłumaczy się w „Dwóch teatrach” tylko poprzez przywołanie kontekstu historycznego (II wojna światowa) i filozoficznego bądź politycznego (powojenny spór o realizm i jego rozumienie). Bez tego „Dwa teatry” pozostałyby sztuką pustą i niezrozumiałą, choć można chyba po tylu latach wyobrazić sobie inscenizację, która ów historyczno-estetyczny kontekst neutralizowałaby po to, aby z tej sztuki tak mocno osadzonej w czasach w których powstała, uczynić spektakl na nowo podejmujący dysputę o granicach teatralnej i egzystencjalnej prawdy.

Tadeusz Malak, reżyser krakowskiego przedstawienia, zdawał się mieć właśnie takie ambicje. Oto mamy akt I. W gabinecie Dyrektora Teatru Małego Zwierciadło, którego ramy wyznaczają czarne kotary i w tej ograniczonej przestrzeni stoją dyrektorskie biurko i fotel, cdnajdujemy mały, ale jakże znaczący sygnał (scenografia Wojciecha Krakowskiego). Na ścianie, nie opodal biurka, wisi afisz teatralny, na tyle duży i wyraźnie wydrukowany, że można z łatwością odczytać jego treść. Czytamy, iż Małe Zwierciadło zaprasza na jednoaktówki: „Matka” i „Powódź”. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że za postaciami scenicznymi „idą” nazwiska autentyczne, właśnie krakowskich aktorów, a podana data premiery zgadza się z tą, jaką faktycznie miała miejsce na Karmelickiej. Sugeruje się więc widzowi, że akcję „Dwóch teatrów” przesunęto w nasze czasy. Był to jednak wyłącznie teatralny bluff, gdyż nijak nie mogłem w tym przedstawieniu odczytać treści współczesnych, tym bardziej że „nie zneutralizowano” kontekstu historycznego nawet tam, gdzie teoretycznie byłoby to możliwe. Tak więc w akcie III, gdy Dyrektor zasypia i pojawia się znów Chłopiec z Deszczu, na scenę wkracza także umundurowana grupka siedmiolatków z drewnianymi szabelkami — „odprysk” przedwo-

jennej i proroczej wizji młodego poety, który za życia nie mógł liczyć na realizację sceniczną swych „sztuk”.

Zabiegi uwspółcześniające sztukę Szaniawskiego pozostały — jak widać — tylko miarą ambicji reżyserskich, ambicji — powiedzmy wyraźnie — nie spełnionych. Nie mogło się to zresztą udać przy tak miernym aktorstwie. Dyrektor w wykonaniu Juliana Jabczyńskiego został ukazany bardzo powierzchownie. Nie mogłem się także oprzeć wrażeniu, że aktor miał trudności z pamięciowym opanowaniem roli, skoro całą uwagę skupiał na „włączaniu się” w dialog. Trochę lepiej wypadła Krystyna Stankiewicz w roli Laury, choć i ona nie wyszła poza stereotyp „troskliwej sekretarki”. Najrzetelniej swe role zagrały Barbara Omielska (Pani) i Stanisława Waligórzanka (Matka), ale do momentu, gdy obie kobiety nie znają jeszcze ukrytych relacji, które je łączą. A przecież właśnie dramatyczny liryzm jednoaktówek Szaniawskiego jest ich największą wartością („Powódź” w ogóle została zagrana sztampowo — tak się nie zachowują ludzie w obliczu śmierci!).

Akt III, teatralnie najtrudniejszy, Tadeusz Malak odczytał bardzo dosłownie. Dyrektor zasypia i guy otwiera oczy, zaczyna rozmawiać ze zjawami. Widać je, nie patrząc na nie. Tak więc jest to tylko zwykły sen, a nie konwencja oniryczna. Zdaje sobie sprawę, że są to subtelności trudne do rozstrzygnięcia. Określenie na scenie statusu ontologicznego Dyrektora II (Tadeusz Kwinta) i na przykład nie żyjącej już Lizelotty, która, nie wiem dlaczego, wcześniej dała się poznać jako kabotynka z prowincjonalnego teatrzyku (Ewa Lejczakówna), nie jest łatwe. Wyszło na to, że są to „duchy” — i tak się też na scenie poruszają, zaś muzyka Zygmunta Koniecznego i „księżycowa” poświata zrobiły ledwie tzw. nastrój.

Irytowała reżyseria niektórych scen, dziwnie „zatrzymywanych”, zawieszanych w powietrzu. Tak było, gdy Lizelotta wchodzi do gabinetu dyrektorskiego i zauważa wychodzącego Chłopca. Pauza, która w tym momencie nastąpiła, przywodzi na myśl konwencjonalne ujęcia filmowe: gdy kamera zatrzymuje się na twarzy bohatera, po to, by „skomentować” właśnie zakończoną scenę i pokazać, że w duszy protagonisty właśnie coś zaczyna „grać”.

Tak więc nie sędzę, by krakowska „Bagatela” już stanęła na nogi. Publiczność czeka na przedstawienia, które byłyby czymś więcej niż ożywieniem lektur szkolnych.

KRZYSZTOF KARWAT



Stanisława Waligórzanka i Barbara Omielska w „Dwóch teatrach” Szaniawskiego

Zdjęcie: Zbigniew Łagocki